

CÓRKI MGŁY

LYDIA GREGOVIC

CÓRKI MGŁY

PRZEŁOŻYŁA

Edyta Świerczyńska

Bliss

TYTUŁ ORYGINAŁU:

The Monstrous Kind

Redaktorka prowadząca: Marta Budnik

Wydawczyni: Olga Gorczyca-Popławska

Redakcja: Agata Ługowska

Korekta: Małgorzata Lach

Opracowanie graficzne okładki: Łukasz Werpachowski

Źródło wyklejki i brzegów: © Maria / Stock.Adobe.com

Grafiki w środku: © migfoto / AdobeStock.com

DTP: Maciej Grycz

Text copyright © 2024 by Lydia Gregovic, LLC

This edition is published by arrangement with Sterling Lord Literistic, Inc.
and BookLab Literary Agency.

Jacket art copyright © 2024 by Christin Engelberth

Map art copyright © 2024 by artist

Copyright © 2026 for the Polish edition by Bliss an imprint
of Wydawnictwo Kobiece Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Edyta Świerczyńska, 2026

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiegolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2026

ISBN 978-83-8417-685-6

Grupa Wydawnictwo Kobiece | www.WydawnictwoKobiece.pl



Bliss



ROZDZIAŁ 1

Koniec końców to śmierć wzywa mnie z powrotem do domu. Opieram czoło o zimną szybę powozu, próbując zatracić się w wieczornym chłodzie jej gładkiej tafli, skutej lodem niczym zimowa sadzawka. W maju, gdy uciekałam z Norland House, wiosna budziła świat do życia; dziś pierwsze zwiastuny jesieni skrapiają go wonią rozkładu. Gdzieś pod kołami powozu w żyznej czarnej ziemi wiją się robaki, czekając, aż natura zrzući odchodzące lato niczym węzową skórę, by się nim pożywiły.

Droga, którą przemierzam, powinna być mi dobrze znana. Bądź co bądź uciekałam z tej zapyziałej dziury tym samym traktem – tylko kierunek był odwrotny. Ale gdy wyglądam przez okno, ślizgając się wzrokiem po postrzępionym pejzażu, nie rozpoznaję ani jednego kamienia, ani jednego krzaczka – zupełnie jakbym bezwiednie wyrzuciła je z pamięci niczym rękawiczkę, z której dawno wyrosłam. Bo i cóż tu wspominać? Jeszcze tydzień temu myślałam, że nie ma dla mnie powrotu.

„Merrick, papa nie żyje. Jeśli nie zatrzymują cię pilne zobowiązania towarzyskie, proszę, byś niezwłocznie przyjechała do Susseksu”.

Słowa siostry odcisnęły mi się pod powiekami niczym rozżarzone piętno, paląc żywym ogniem przy każdym mrugnięciu.

Coś mnie tknęło już w chwili, gdy dwa dni temu lokaj Eave-sów przyniósł do stołu śniadaniowego list z pieczęcią Darlin-gów – naszą pieczęcią rodową. Od mojego pośpiesznego wyjazdu z Norland House przed czterema miesiącami siostra nie odezwała się do mnie ani słowem. Ta ucieczka była już drugim ciosem w nasze dumne drzewo genealogiczne w ciągu zaledwie dwóch tygodni, kiedy to na skraju Graylandu odnaleziono przewrócony powóz ubóstwianej Lady Artemis Darling, a tuż obok to, co z niej zostało, nędzne szczątki rzucone w błoto niczym zużyta serwetka. Nasza prowincja okryła się żałobnym kirem, choć przyznać trzeba, że ta tragedia była do przewidzenia. Nawet w miejscu tak dobrze strzeżonym jak Sussex wszyscy znaleźmy ryzyko podróży – wania zbyt blisko granicy, wiedzieliśmy, co zamieszkuje mgły czające się za zapalonymi latarniami, widywaliśmy porzucone kości ofiar, wylizane do czysta i śnieżnobiałe niczym baranki ofiarne.

Na myśl o rodzinie wyrzuty sumienia ściskają mnie za gardło żelaznymi szczypcami. Po śmierci mamy powinnam była trwać u boku ojca i siostry. Powinnam była ją oplakiwać. A zamiast tego przy pierwszej okazji wzięłam nogi za pas jak tchórzliwy królik wskakujący do swej nory.

„Nie zostawiaj mnie tu samej”. W uszach wciąż dzwięczy mi błagalny szept siostry, wlokąc się za mną jak chmura burzowa po wszystkich olśniewających balach i przyjęciach Nowego Londynu. Owszem, zaczęłyśmy się od siebie oddalać jeszcze za życia mamy – z biegiem lat stało się jasne, że żadne więzy krwi nie zmienią faktu, że jesteśmy nade wszystko rywalkami – a jednak dzielący nas dystans nie zdołał zatrzeć poczucia winy powodowanego tym, że ją opuściłam. Byłam głucha na jej wołanie i po prostu wybiegłam z domu, nie oglądając się za siebie.

A prawda jest taka, że nie byłam w stanie wytrzymać z nią pod jednym dachem – ba, w jednej prowincji. Nie po słowach ojca, których lodowate ostrze wciąż wrzyna mi się w gardło, pozbawiając tchu.

Woźnica ściąga lejce i konie posłusznie wchodzą w zakręt, za którym rozpościera się wybrzeże Susseksu, a mnie momentalnie przechodzi dreszcz. Skąpane w soczyście pomarańczowej poświacie zachodzącego słońca postrzępione klify wbijają swe wapienne kły w ciemniejące niebo, pod którym spienione fale rozbijają się szumnie o pas kamienistego brzegu niczym psy żebrzące o ochłapy. Jak okiem sięgnąć, wzdłuż klifów wznoszą się żelazne słupy, na których rozkołysane latarnie odganiają dzielnie skradającą się noc.

Za nimi jest tylko mgła.

Już dawno temu w całości pochłonięła plażę, wspinając się jak bluszcz po klifach, by zawisnąć nad ich grzbietem niczym morski pył. Mgła, wszędzie ta mgła – barwy siniego wosku kapiącego o włos od płomienia świecy, którego nigdy nie śmie przeciąć, opalizująca w anemicznych promieniach zachodzącego słońca jak mieniąca się w świetle moneta.

Grayland. Tak je nazywamy – przeżarte mgłą połacie Smoke’u, naszej krainy, na których ludzka stopa nie postanie już nigdy, odgrozione szczelnym kordonem latarni, tych ognistych strażników postawionych ręką moich przodków przed dwoma wiekami. To one stoją dziś na pierwszej linii frontu, chroniąc nas przed mgłą, która bez tej zapory wsiąkłaby w każdą najmniejszą dziurę jak sącząca się z rany ropa.

Sprowadzając na nas zamieszkujące ją potwory.

Niepokój osiada mi na skórze niczym płaszcz z drobinek porannej rosy. Za moich lat dziecięcych Grayland kończył się u podnóża klifów; dziś, pomimo wysiłków ojca, mgły czają się tuż przy

trakcie, by każdy podróżny mógł zahaczyć je wzrokiem jak niechcianego gościa. Jeszcze parę lat tej bezczelności i będziemy zmuszeni wyznaczyć zupełnie nową drogę.

Staram się o tym nie myśleć. My, urodzeni wieki po pojawieniu się mgły, przywykliśmy do życia plażowiczów w porze odpływu. Jemy, pijemy i choć nawet bywa nam do śmiechu, nigdy nie opuszcza nas świadomość, że pewnego dnia żadne zapory nie pomogą i wielka fala wedrze się na plażę, wciągając nas wszystkich do morza.

Tak jak zmyła moich rodziców, dopowiadałam sobie w duchu. Prasowy nekrolog ojca był równie frustrująco lakoniczny co list mojej siostry, ale jako Lord Protektor Susseksu Silas Darling miał większą styczeńność z Graylandem niż lwia część naszych krajan. To jeden z warunków świętego przymierza, jak je zawsze nazywał – paktu zawartego przed wiekami pomiędzy dwunastoma Lordami założycielami a ich poddanymi. Błękitnokrwisć pokroju mojej rodziny wykorzystują swój dar odporności na jadowity dotyk mgły, aby chronić poszczególne prowincje: naprawiamy zepsute latarnie, nadzorujemy patrole, a w razie konieczności walczymy z bestiami, którym udało się prześlizgnąć przez szpary w naszym pancerzu. W zamian za to każda prowincja przeznacza część swego dochodu na utrzymanie władającego nią klanu. Tak było i jest, a przywileje i obowiązki przechodzą z pokolenia na pokolenie niczym niegasnąca pochodnia.

Pamiętam swoją dziewiczą wyprawę w objęcia mgły, którą odbyłam z ojcem. Miałam trzynaście lat, a za sobą pierwsze krwawienie, gdy na południowej grani zauważono Zmorę, która jakimś cudem zdołała wymknąć się naszym patrolom.

Ruszyliśmy we dwoje jej śladem i dopadliśmy ją w ostatniej chwili na granicy mrocznego Graylandu. Wciąż mam tę scenę przed oczami: galopujący wierzchowiec ojca i mgła, która

bojaźliwie rozstępuje się przed nim, jakby był jakimś rycerzem niebios, nietykalnym dla nas, zwykłych śmiertelników.

A jednak ślizgając się dziś wzrokiem po językach przyczajonej mgły, zastanawiam się, ile ziemi zdążyła zagarnąć przez te parę miesięcy mojej nieobecności. I czy ojciec padł w końcu ofiarą jednej z bestii, na które całe życie polował.

Opadam na siedzenie, szukając w torebce czegoś, co zajmie mi myśli, i po chwili moje palce natrafiają na miękki grzbiet złożonej gazety. Wyjmuję ją delikatnie i rozkładam na kolanach. Eavesowie, wieloletni przyjaciele naszej rodziny i filary nowolondyńskiej socjety, są wiernymi subskrybentami „The New London Toast”, najpopularniejszego brukowca stolicy i obowiązkowej lektury każdej młodej damy żeglującej po zdradliwych wodach salonów w pełni sezonu. Najświeższy numer udało mi się podkraść dosłownie w progu, bo nic tak nie rozwiewa nudy długiej podróży jak plotki, ploteczki i ludzkie dramaty.

Rzucam ostatnie spojrzenie na rozciągające się za oknem mgliste pustkowie przypominające gołe płótno spragnione pędzla artysty. Tak, tu pomoże tylko „The Toast”.

Przebiegam pierwsze akapity obojętnym wzrokiem, aż natrafiam na swoje nazwisko i instynktownie pochylam się nad drukiem w pozycji nieprzystającej damie:

„Naszych czytelników z pewnością ucieszy wieść, iż perła sezonu, czarująca Arcycórka Merrick Darling, podtrzymała swe światło rządu na piątkowym balu u Lady Fairfax. Choć jej karnecik pękał w szwach od nazwisk adoratorów pragnących skraść jej serce, naszemu bystremu oku nie umknął fakt, iż dwoma tańcami zaszczyliła tylko jednego dżentelmena: sir Fitzgeralda Vannetta z tych Vannettów. Czyżby hołubiona

gołębica Nowego Londynu w końcu znalazła sobie przytulne gniazdko? Nasze źródła donoszą, że oświadczyły nie zostały jeszcze złożone, jednakowoż, sądząc po perypetiach minionego sezonu, najdorzeczniejsza łania zawsze jest w cenie”.

Z moich ust wyrzywa się westchnienie ulgi i przymykam oczy. A więc nie przeliczyłam się, pismaki zauważyły. Znakomicie. Fitz okazał się całkiem miłym kompanem – co nie znaczy, że jego umizgi zdołały choć w części wynagrodzić mi długie godziny męczarni przed lustrem. Najważniejsze, że jako syn jednego z dwunastu rządzących Smokiem klanów, choćby pośledni (żaden tam z niego Markiz Krwi czy dziedzic Szkarłatów), powinien pociągnąć za sobą innych. Wraz z ich zainteresowaniem.

Zainteresowaniem, którego będę potrzebować, gdy wrócę do Nowego Londynu po pogrzebie ojca. Desperacko potrzebować, jeśli mam być szczerą. Bo, jak uczą ostatnie miesiące, bardziej od pereł sezonu socjeta uwielbia tylko przeceniony towar. Chwilowo może i jestem oczkiem w głowie „The Toast”, ale moje „światło rządu” błyskawicznie odeszłyby do lamusa, gdyby tylko znali prawdę.

Jeśli poznaliby prawdziwy powód, dla którego w przeciwnieństwie do moich przodków jedyną zwierzyną, na jaką obecnie poluję, jest ustosunkowany mąż.

Moje rozmyślanie przecina przeszywające rzenie konia. Drewniany powóz gwałtownie podskakuje i momentalnie otwieram oczy, nieomal przygryzając sobie język. Łapię się oburącz wyściełanej ławeczki i wyglądam przez okno, próbując uspokoić rozdygotane serce.

Wstrzymuję oddech. Nie więcej niż dziesięć metrów przed nami wisi upiorna, gęsta mgła, połyskując groźnie srebrzystym woalem, jakby chciała zastąpić nam drogę.

Bo i ją zastąpiła.

Spanikowana, zerkam w stronę odległych latarni i ich ognistego pancerza. Z przerażeniem dostrzegam w nim wyrwę – jeden z płomieni zgasł, otwierając drogę mgłę. Jej mleczne wąsy oplatają już czule żelazny słup, zamykając go w niemniej żelaznym uścisku.

Wyrwa. W Susseksie... Serce podchodzi mi do gardła. Nie jest to niemożliwe, choć odkąd sięgam pamięcią, podobne incydenty zdarzały się tak rzadko, że szybko ginęły w pomroce dziejów. W innych prowincjach, rządzonych przez słabsze klany, wyrwy to chleb powszedni – ale nie tutaj. A przynajmniej nie za czasów ojca. U nas ogniki nie gasną nigdy.

Na jedną krótką, przerażającą chwilę czas staje w miejscu i wstrzymuje oddech, jakby sam nie wiedział, co robić. Nagle trzask bicia woźnicy wyrwa mnie z transu i wracam do swego przygarbionego ciała. Przypadam do dzielącej nas szybki i wałę w nią z całej siły pięścią.

– Czyś ty oszalał?! – wypluwam słowo za słowem, wbijając wzrok w nieszczęśnika, który szarpie się z lejcami. Ale to na nic, rozpędanego konia już nie zatrzyma. – Ściągnij lejce, zanim...!

Za późno. Trupio blada zasłona unosi się tylko po to, by zaraz na nas opaść.

Oniemiała i sparaliżowana patrzę, jak eteryczne macki oplatają woźnicę, wciągając go w mleczną otchłań. Krew szumi mi w uszach. Ręce i nogi mam jak z ciężkiej, namokniętej waty. Szyby powozu momentalnie pokrywają się pajęczyną śnieżno-białych, nitkowatych wąsów przesłaniających cały świat.

Pod tym szczelnym, efemerycznym kocem robi się nagle upiornie cicho i powóz bezszelestnie staje w miejscu. A wraz z nim – gula w moim gardle.

Woźnica. Co z nim? Wytężam wzrok, próbując zajrzeć za mleczną zasłonę. Bo trzeba wam wiedzieć, że wszystkie dzieci

Smoke'u są od małego uczzone, co robić w takich wypadkach. Po pierwsze, natychmiast zakryj nos i usta. Jeśli nie jesteś Błękitnokrwistym, pierwszy wdech będzie zarazem twoim ostatnim.

Po drugie i (prawie) równie ważne, nie zatrzymuj się. Dopadną cię właśnie wtedy, w tej krótkiej chwili nieuwagi między jednym oddechem a drugim, gdy myślisz, że jesteś już bezpieczny.

Wciąż mrużę oczy, próbując zajrzeć za tę przeklętą zasłonę, gdy moich uszu dobiega mokry, zwierzęcy charchot, jakby jakiś wygłodniały obżartuch wgryzł się w pieczony udziec, nie zważając na maniery przy stole. Mlask, mlask, chrup, chrup, pękają chrząstki i ścięgna.

Robi mi się słabo, a ta nieszczęsna gula w gardle ciąży jak ołów. Bez względu na to, iloma wyprawami z ludźmi mogłabym się pochwalić, zawsze to strach był moim najwierniejszym druhem. Paniczny, paraliżujący i rosnący z każdym krokiem w głąb tej krainy rodem z dziecięcych koszmarów, pełnej baśniowych potworów, które zaraz zejść z kart książeczki i usiądą z tobą do śniadania.

A posiłkiem będziesz ty.

Zmora. Jest tutaj.

Jak na zawołanie z odmętów mgły dobiega chrzęst łamanych kości i na prawą szybę niczym krwawy deszcz bryzga szkarłatna jucha. Mój instynkt przetrwania wreszcie się budzi – rychło w czas. Podciągam spódnicę i wydjmuję przytroczony do łydki nóż. Wolałabym starego dobrego Pogromcę, ale po przybyciu do Nowego Londynu musiałam rozstać się ze swym ukochanym pistoletem, bo, delikatnie mówiąc, na salonach i w bawialniach broń nie należy raczej do repertuaru pożądanych dodatków.

Na szczęście pan Eaves jest dżentelmenem i nie obszukał mojej skromnej osoby pod kątem noży – w przeciwnym razie byłabym teraz w nie lada opałach.

W końcu mlaskanie cichnie. Resztką sił wstrzymuję oddech, gdy na rąbek mojej spódnicy pada szarawy cień, który przesuwają się wyżej i wyżej z każdym krokiem jego właściciela. Nie odrywając oczu od ruchomej plamy, zaciskam palce na rękojeści noża, a w uszach dźwięczy mi głos ojca:

„Uderzaj pierwsza i nie wstrzymuj ręki. Mierz w słabe punkty: krzyż, lędźwie, kolana. Pamiętaj, te stwory były kiedyś ludźmi i są tak samo śmiertelne”.

Puk, puk. Coś stuka w szybę powozu jak nieśmiały gość. Ciśsza. I znowu: puk, puk, puk.

Odmawiam w duchu szybką modlitwę do Boskiej Trójcy – Płomiennego Króla, Wielkiego Latarnika i Rezuna, trzech bóstw czuwających nad Smokiem, które, jak głosi legenda, obdarzyły dwunastu Lordów założycieli darem nietykalności.

Podnoszę wzrok.

Przez ułamek sekundy stwór zza szyby niemal wydaje mi się człowiekiem. Kiedyś rzeczywiście nim był, zanim mgła nie wsączyła mu się w żyły, zmieniając krew w mleko i wwiercając się w czaszkę, aż nic nie zostało. Dziś oczy Zmory są prawie śnieżnobiałe, dwa przerośnięte pajęczne jaja osadzone w zapadniętych oczodołach. Strzępy pergaminowej skóry, które wciąż wiszą na jej twarzy, są pomarszczone i stwardniałe jak suszone jabłko, a zza nich wyzierają żylaste ścięgna i mięśnie trzymające kości. Z poczerwiałych dziąseł wyrastają ukruszone, pożółkłe zęby, którymi zgrzyta w takt jakiejś chorej, upiornej pieśni.

Na jej widok coś we mnie pęka i w jednej chwili z eterycznej damy przeobrażam się w twardą wojowniczkę. Nareszcie. Choć nie przyjmowałam tego do wiadomości, posłusznie poddając się mozolnym zabiegom Eavesów, którzy za wszelką cenę chcieli zrobić ze mnie rewelację sezonu, tak bardzo się za nią stęskniłam! I za tym dreszczykiem emocji, który niesie ze sobą

tylko balansowanie na granicy życia i śmierci, gdy przetrwanie zależy od kaprysu losu, na który się zdajesz.

Szkolono mnie na wojowniczkę. Nie na dziewczynkę, którą chciał ze mnie zrobić ojciec, gdy...

Zmora rzuca się wściekle na – chwilowo – zaryglowane drzwi powozu, drapiąc połamanymi pazurami jego ściany. Zamknięta w tej rozklekotanej drewnianej pułapce, unoszę wyżej nóż, szykując się na to, co będzie.

Szyba w końcu pęka pod naporem zrogowaciałych szponów. Rzucam się w jej kierunku, sycząc z bólu, gdy odłamek szkła trafia mnie w policzek. Ale zanim zdążę zatopić ostrze w zapadniętej piersi Zmory, z jej ust wyrывa się przeraźliwy, nie-ludzki skowyt, a ja instynktownie odskakuję. Skowyt przeradza się w nieznośne, wiercące brzęczenie ogromnego roju pszczoł i oszołomiona patrzę, jak Zmora uderza z impetem w powóz, by osunąć się bez ruchu na ziemię i zniknąć z pola widzenia.

Wisząca w powietrzu mgła wciąż pulsuje oddanym z daleka strzałem, którego echo zdaje się grać na jej strunach niczym smyczek na strunach skrzypiec. Łapię się za rozpaloną pierś, która w tym krótkim czasie chyba zapomniała, po co tak naprawdę faluje.

Już dobrze, Merrick, nic ci nie jest, żyjesz...

Drzwi powozu otwierają się z trzaskiem i moim oczom ukazuje się zamaskowana postać mężczyzny. Niczym duch wyłaniający się z mgły, przebiega mi przez myśl. O nic nie pytając, przyciska mi do ust bawełnianą szmatkę i bierze mnie na ręce, aby wynieść z powozu...

Prosto w objęcia mgły.